Nr. 7. We Lwowie dnia 13. lutego 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

OSTATNI ROMANTYK.

(Ciąg dalszy).

Ukochał Ujejski rodzinną ziemię nie jakiemś abstrakcyjnem uczuciem historyka-etnografa, była mu ona droga w całym swym realnym obrazie widomym, i stroił ją barwami tęcz, blaskami najwdzięczniejszych pryzmatów. Jej łany, jej łąki miały dla niego najcudniejsze wonie, jej wody szumiały mu najpiękniejszą w świecie melodją, miody jej słodycz miały niezrównaną. Bez Polski, bez słońca jej i błękitów życia nie rozumie i nie chce, a nawet poza granicami tego życia tęsknić ku niej będzie i przez mgły przestrzenne do niej latać:

„Ach! pokochałem tak ojczyz ę piękną,
Że mnie się kiedyś aniołowie zlękną,
Jeśli przed nimi moja dusza wyzna,
Że mi nad niebo milszą jest ojczyzna,
A moja miłość to nie marne słowo,
Myślą i czynem i sercem i głową,
Mogę jej każdą chwilą życia dowieść.

śpiewał uniesiony pięknością i pamiątkami rodzinnej ziemi.

Pojęcie narodowej sprawy rozumiał Ujejski w poczuciu bezwzględnej prawości. Najmniejsze uchybienie pod tym względem przejmowało go oburzeniem. Wszelka działalność publiczna powinna być bezwarunkowo szczera, otwarta przytem, a przedewszystkiem bez zarzutu prawa. Nie dozwala się najmniejszego zboczenia pod tym względem. Tylko działanie czyste i prawe może tworzyć rzeczy wielkie, naród uszlachetniające. „Potępiam i nie wierzę, wołał w uniesieniu — w żaden wallenrodyzm, a każden fałsz, choćby okryty anielską szatą, jest grzechem". Ta prawość w poglądach tworzy w nim szlachetną surowość sądu. Gniewa go pobłażanie lub przykrywanie złych stron czy to społeczeństwa, czy jego wybitnych działaczy; pobłażanie błędów spowodowało upadek naszego społeczeństwa, ospałość opinji publicznej jest wyrazem osłabienia społecznego sumienia.

Znane, choćby najpoważniejsze imię nie może obronić człowieka, gdy ten z jakiejkolwiekbądź strony sprzeniewierzy się swojej opinji. Więc też Ujejski, obok przejętego żalem Jeremiego, odczuwającego żywo i bole błędy swojego społeczeństwa, staje się niejednokrotnie prokuratorem narodowej sprawy i gromi piorunowemi iście gromami przeniewierców jej lub osłabłych w wierze wieszczów-kapłanów.

Obok tej surowości dla wszelkiego zła, dziwnie miękko odbija ogólnoludzka miłość, wyrozumiałość dla człowieka, jako dla jestestwa zdolnego błądzić. Mistrz surowy na winy, karcący każde sprzeniewierzenie się przewódców narodu, ma w swem sercu wielką, rzewną miłość dla człowieka. Skoro marzy o błogosławionej przyszłości świata, o owej trzeciej epoce ducha, „która już niedaleka", mówi, że społeczeństwo będzie wówczas patrzeć na winy swoich członków, jak uśmiechająca się matka patrzy na wykroczenia swego dziecka, bo nie będzie wówczas złych a będą tylko głupi albo chorzy i całem staraniem ludzkości będzie prostować „wyskoki swoich niewiniątek", jak się wyraża.

Jak wszyscy współcześni Mickiewiczowskiej epoki. Ujejski był głęboko wierzącym, chociaż wiara jego nie miała ferworu, ani pietyzmu fanatycznych wyznawców. Możnaby go nazwać deistą. Znamienne są słowa, któremi określa stan swego sumienia pod względem wiary, jeszcze za czasów swojej młodości. „Ja

nie modlę się z książki — odpowiada Polowi, gdy go ten o nabożności swojej zapewnia — modlę się z ducha; rzadko kiedy wstąpię do kościoła: kościołem mi świat cały; oddawna nie spowiadałem się przed księdzem: bo spowiadam się często przed moim ojcem w niebiesiech; — i chociaż obecnie los, burząc moje gniazdo, rozproszył moje pisklęta, oderwał mnie od ukochanej i tęskniącej — stoję nagi, ale ze skrzydłami; silny jestem, bo wierzę!“

Życie prywatne, ściśle osobiste, jesli to wyrażenie stosować można do Ujejskiego, dla którego sprawy publiczne były najbliższemi osobiście — otóż życie dla siebie wyłącznie nie zdołało w żadnej mierze wpłynąć na jego oddanie się dla idei. „Pod tym jedynie warunkiem może otoczyć się rodziną, jeżeli czuje dostateczny hart w duszy do poświęcenia jej w razie potrzeby dla narodu; bo połowiczność tworzy tylko ludzi nijakich i czyny takie same. (Słowa Ujejskiego).

Jak wszystkiemu, w co wierzył, pozostał Ujejski wiernym i tej zasadzie. Małżeństwo jego, tak na pozór sprzeczne z teorjami przezeń wyznawanemi, w najmniejszej mierze nie wpłynęło na osłabienie jego ducha. Życie prywatne, domowe, pozostaje zdala od tego, co głoszą usta wieszcza — a czy dowodzi to mniej silnych popędów rodzinnych, czy tego hartu ducha, co swoje zachowuje dla siebie — jak skoro wyraźnego piętna na pracę twórczą wieszcza nie miało, do obojętnego ogółu należeć nie może. W pobieżnym tym zarysie zaznaczyć tylko wypada, że erotyzm, tak wybitną rolę grający zwykle w twórczości poetów, u Ujejskiego wyrazu swego niemal zupełnie nie znalazł. Jest prawie wyłączony z dzieł jego za wyjątkiem dwóch, trzech drobnych utworów. Jeśli zwraca zaś się do kobiety, lub jeśli mówi o niej, to zwykle czyni to ze czcią graniczącą z hołdem. Czytając odnośne w tym względzie ustępy, przypominają się słowa Heinego: „a teraz panowie, zdejmcie kapelusze, będę mówił o polkach“. Kobietę polską Ujejski czci, jako matronę nieposzlakowanej cnoty, jako dziewicę czystym duchem nad tłumy wyższą, nie cofającą się przed żadnem dla sprawy narodowej poświęceniem.

Skorośmy przedstawili sobie w tym krótkim zarysie, nazbyt może pobieżnym, całokształt duchowej postaci poety, przejdźmy teraz do dzieł jego ducha, do prac jego piśmiennych. Prace te chociaż od pół wieku znane są narodowi, a niektóre z nich zyskały rzadką popularność, nie doczekały się dotąd szczegółowej, a starannej krytyki, najbliższa przyszłość pośpieszy zapewne z wypełnieniem tego długu wdzięczności względem wielkiego poety. Tu, stosownie do miejsca i czasu w krótkim rzucie oka zróbmy przegląd jego piśmiennej spuścizny.

Pierwszym z większych utworów Ujejskiego, młodocianym jeszcze utworem, był „Maraton“.

»Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,
Pieśń, co przypomni wam brzęki łańcucha.
Wy chcecie pieśni, ni kwiatu do wieńcą,
Coby wśród uczty mogła was pochwalić,
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękłe dusze, jak zbroję ostalić«.

Tym wstępem do poematu zaznaczył również młody poeta swój wstęp w dziedzinę narodowej poezji. Odtąd wiemy, jakie tony z lutni jego brzmieć będą i jakiemi drogami nas powiedzie.

Jakoż „Maraton“ daje nam obraz zwycięstwa, które zapał, miłość kraju i rozpacz obrony otrzymać może mimo wszelkiej oczewistej niemożebności.

Czysto moralne pobudki zdolne są przeradzać ludzi w olbrzymów, dokonywać czynów zgoła niemożebnych przy zwykłym biegu rzeczy. Ten tryumf silnego ducha, jest pierwszą zasadniczą myślą w „Maratonie“, drugą — ohyda niewoli.

Niewola, upodlenie niewoli — ta myśl przejmuje zgrozą wolnych obywateli Grecji; mimo zawiedzionej pomocy i braku dostatecznego przygotowania się, rzucają się drobną garstką przeciw potędze największego na ziemi mocarza. I zwyciężają. Do opustoszonych Aten, skąd wszystko, co żyło, rzuciło się na plac boju, gdzie jedynie starcy i niewiasty zostały, wbiega nocą zdyszany goniec. Pędził dniem i nocą, tchu mu w piersiach braknie.

„Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru grek ulicą bieżył,
I padł wołając: „Zwy-cię-stwo! Już nie żył“.

„Maraton“ jest pieśnią ognia i zapału, młodą, silną piersią na cały kraj wyśpiewaną. Słyszeć się już w niej daje ów podźwięk spiżu, który później tak wspaniałym rytmem grzmieć będzie w „Skargach Jeremiego“. Jest to pierwsza próba potężnego głosu, nierozśpiewanego, niewyrobionego jeszcze, niemniej będąca zapowiedzią przyszłej potęgi.

(C. d. n.).

W. Dalecka.

Pośmiertne wydanie.

Z MYŚLI ZAGASŁYCH.

SZEREG PIERWSZY.

Słowacki... Schelley... André Chénier... Lermontow — genjusz lub talent ogromny.. i jakby.. podkreślony młodą, czy niezwykłą śmiercią, jakby obramowany pyszną draperją czarną po rzadkiej grozie ich zgonów...

Nigdy nie przestaną kwitnąć wawrzyny na ich grobach, w gorącem ubóstwieniu, ze łzami żalu gorącego rzucane na nie w nieskończoność przez coraz to młodsze i młodsze pokolenia. Poznawszy ich i upoiwszy się nimi, opłakują one te wielkie, nagle ucięte życia

Pamiętam — jaki dziwny urok i jaki czar tragiczny zginał kolana moje przed nimi, kiedym ich i o nich czytał w wieku młodzieńczym po raz pierwszy... Starzec Goethe, który otrzymał wszystko, co niebo i ziemia — świat i życie dać mogły, który pełną czarę wychylił do dna — o ileż mniej wydawał mi się interesującym, o ile mniej mię pociągał, chociaż moc jego czułem. Natomiast, jak przekonany byłem, że żyję, że jestem młody, że kocham prawdę i dobro, a roskoszuję się pięknem, — tak samo przekonany byłem, że mógłbym z uszczęśliwieniem najwyższem umrzeć za Słowackiego, dać głowę za Chenier'a, utonąć za wieszcza angielskiego. Prawda, byłem wówczas entuzjastycznem półdzieckiem, lecz i to nawet mając na względzie, można tylko zniżyć stopień wrażenia i odczucia, nie zaś zmienić samą naturę jego.

Niedość śmierci szczególnej — trzeba jeszcze śmierci szczególnej, szczególnego człowieka... Tak mię boli, poniża myśl, że dotąd jeszcze nie jestem tem, czem już, jak mi się zdaje, być powinienem i być mógłbym, że radbym się wyzbyć tego nędznego życia, gdyż cenię je nadzwyczaj tanio, bez tego, o czem marzę, czego pragnę. Ale umrzeć teraz chociażby niezwykle, samobójczo — byłoby to podkreślić efektownie własną nicość. Obyż wreszcie przestać pragnąć, przestać marzyć i przestać wierzyć w samego siebie!... Czy jestem zarozumiały, czy przeceniam swe siły — sam tego nie wiem... być może. Tylko wydaje mi się uparcie, że czasem z pod pióra mego rwie się i ulatuje prawdziwa i pełna życia dusza ludzka — w jej rozmaitych przejawach, dusza silna i indywidualna. Częstokroć przekonany jestem, że widzę i piszę żywą, a nie każdemu dostępną — prawdę, że marzę i fantazjuję... jak i ci, co umieli patrzeć wysoko, jak wieszcze.

Tak, zdaje mi się, że mam to (chociaż sam nie wiem w jakim stopniu i jakiej mierze), co się nazywa prawdziwą, bezpośrednią twórczością. Nic i nikogo, nawet tych wielkich, przed którymi uczuwam dotąd drżenie święte — nie mógłbym naśladować. Zle może wyjdę na tem, lecz nie mam żadnej szkoły, żadnego kierunku, żadnego mistrza... Cha, cha! sławny genjusz samorodny — jak bryła złota!...

Nie wiem, nie wiem zresztą, czem jestem, na co mię stać właściwie, czem by być mogłem .. ale zarozumialcy, samolubi i pyszałki — nigdy przecież nie wiedzą, czem są w istocie — może więc i ja jestem tylko zarozumialcem, samolubem, pyszałkiem — i dla tego nie wiem, czem jestem w istocie. Że jednak wierzę, uparcie wierzę w siebie, pomimo wszystkiego, w tem gnieździ się cierpienie moje, w tem jego rdzeń jadowita

Gdyby mię kto przekonał, że się mylę fatalnie, gdyby kto szczerze i oczywiście mógł mi udowodnić, że jestem tylko jednym z tłumu, błogosławiłbym go może tak samo, jak tego, któryby mię przekonał, że jestem wielkim talentem Tymczasem znam tylko niepewność i... zarazem mimowolne, niezwyciężone poczuwanie się do jakiejś innej miary... instynkt prawie ślepy, że nie jestem tylko tym małym, poczciwym, pracowitym pionkiem. Instynkt ten może istotnie mylny... a może... może prowadzący mnie prostą ścieżką do ukrytego skarbu.

Gdym obejmował przed kilku laty nieszczęsny mój urząd, zdawało mi się, że będę mógł swobodnie próbować sił swoich, poznawać siebie i dawać się poznawać, pracując w godzinach pozabiurowych. Zdawało mi się, że zapewniwszy jako tako byt Lili i sobie, będę mógł się oddać pióru i z jego pomocą dopełniać tymczasem, a wkrótce potem wyłącznie tylko zdobywać środki do życia, do swobody. I byłem dziecinnie, naiwnie szczęśliwy wraz z biedną Lilą moją, bo mi się wówczas zdawało, że przebiegniemy chyżym krokiem tę wiecznie świeżą, wiecznie usłaną różami dolinę młodych i zakochanych marzycieli. Ona jednak i wtedy była już nieco sceptyczniejszą, przynajmniej, pod jednym względem, pomimo to, że mię tak bardzo wtedy jeszcze kochała. Pamiętam kiedyś, gdym głośno wobec niej marzył i zwierzał się przed nią ze swoich pragnień i nadziei, potrząsłszy z niezadowoleniem kształtną swą główką, powiedziała mi wręcz, bez ogródek, choć niby żartobliwie:

— Wiesz, Edziu, — jest to rzecz bardzo ryzykowna. Przedewszystkiem (dla ciebie przecież powinno to być przedewszystkiem) dla tego, że mam gust wcale niezły i dosyć wyrobiony — i że miernych pisarzy po prostu nie znoszę. Pierwszorzędnych zaś bywa zwykle najwyżej kilku w narodzie, współczesnych naturalnie – i pierwszorzędni zresztą zwykli się zdradzać z talentem swoim w bardzo już młodym wieku... Ty zaś, bądź co bądź... masz już

lat dwadzieścia kilka. Zapewne, dotychczasowe warunki krępowały cię do pewnego stopnia - studja, zarobki... zawsze jednak coś by już mogło się wyrwać, wytrysnąć z pod pióra twego, coby świadczyło wyraźnie...

Nie wiedziała nic jeszcze o pierwszych próbach moich uniwersyteckich, tem źródle wszystkiego. Za mało sam je ceniłem, żebym się mógł przed nią produkować z niemi. Słuchałem więc dalej.

— Otóż albo musisz wzlecieć w górę odrazu, wysoko i wspaniale, albo wyrzec się próby, aby broń Boże, nie upaść z jakiegoś strychu lub daszku. O, bo wówczas, źle to, czy dobrze, ale zapewniam ciebie — żebym przestała cię kochać! Lepiej daj temu pokój, mój drogi. Zostań takim, jakim cię znam teraz: zdolnym, wykształconym, ładnym (o, ładnym zostawaj, jak najdłużej: nie łysiej i nie nabieraj tuszy), bardzo szlachetnym i niesłychanie dobrym chłopcem. Czy to mało?! Tak się obawiam tych... zapoznanych wielkości. Gdybyś został takim, jak jesteś, zostałbyś na zawsze „moim ideałem". Och, te miernostki ze swoją manją grandiosą — i z dziwactwami na starość! Znawcy gardzą niemi, motłoch ich tylko czyta, przełykając ich tak samo, jak łyka codzienną swą strawę I ja miałabym mieć takiego małżonka! ależ to straszne!

Odpowiedziałem niby półżartem:

— Zapewne. Ale gdybym przypadkiem, niespodzianie został naprawdę znakomitym autorem?

(C. d n.)

ELSTERA*)

Biały pod nim arabczyk zrywa się do skoku,
Burka szumi na wietrze, nito orle pióra —
I skoczył: piany srebrnej owiała go chmura —
I krwawieje ułanka, jak gwiazda w obłoku!

Ryk armat! — Dym! — Płomieni złoto i purpura!
Drapieżna ręka śmierci wysunięta z mroku!...
Koniu! Koniu rycerski! O płyń! Krok! Pół kroku!
O falo! nie bądź katem!... O falo ponura!

Trzask! Imperium się wali! Ludy! Epos kona!
O gwiazdo! Gwiazdo Polski i Napoleona!..
Pękły niebios wierzeje — i grom z nich uderzył!

A z ziemi, jak mgła, płynie i w lazurach stawa
Postać blada śmiertelnie — zadumana — krwawa —
I — we łzach — zwraca Bogu, co jej Bóg powierzył!**)

Or—Ot.

---

*) Z sonetów, wyróżnionych na konkursie „Życia".

**) Józef Poniatowski na wezwanie po bitwie pod Lipskiem, aby się poddał, miał odpowiedzieć: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu tylko oddam!"

Przypisek redak. „Tygodnia".

Jubileusz.

(Ciąg dalszy)

Było w tem dużo racji, — tylko że ja „jakiejkolwiek pracy" też znaleźć nie mogłem. Niestety, wszystkiego nauczyć się trzeba, a stanowiska, nie wymagające żadnych specjalnych kwalifikacji, dostaje się tylko przez protekcję, bo konkurencja jest zbyt wielka. Dawanie lekcji było wykluczonem. Byłem zbyt znaną i okrzyczaną osobistością. Mój talent stanowił dla mnie tylko przeszkodę. Żaden kupiec nie przyjąłby literata na subjekta.

Mój nieporządny tryb życia zwracał uwagę. Gorszyli się nim ci sami, co mi przy kufelku dotrzymywali kompanji. „Co za lekkomyślność! — mawiano — nie pracuje, a traci. Nic dziwnego, że w domu nędza".

Swoją drogą i moja żona podlegała krytyce surowej. Po przyjacielsku zwracano mi na to uwagę, że jest niedbałą i niepraktyczną gospodynią. „Wejrzyj w to — radził mi ktoś w zaufaniu. — U was złe gospodarstwo, żadnych nie robicie zapasów Mówiła mi żona, że kupujecie po kilka funtów węgla kartofle na litry, a cukier po pół funta, to podobno dwa razy tyle kosztuje". Wiedziałem ja, dlaczego takie detaliczne prowadzimy gospodarstwo, ale nie udzielałem wyjaśnień. Kiedyś gruchnęła w świecie plotkarskim pogłoska, że jadamy w domu sarninę. Wynikło stąd straszne zgorszenie. Była w tem zresztą część prawdy. Gdy nie miałem ani grosza na mięso, wziąłem w handelku comber sarni na rachunek. Mieszkanie trzeba było wietrzyć po tym kosztownym obiedzie, ale oszukało się żołądki.

Mojej żonie również życzliwych przestróg i rad nie brakło. Donoszono jej, że pieniądze trwonię poza domem, że wpadłem w złe towarzystwo itd.

Okazywano jej dużo współczucia — w słowach. Zwracano jej uwagę, że zmizerniała. „Pani musi koniecznie na wieś wyjechać latem, teraz pić mocny porter i zażywać żelazo". — „I dzieciom wieś się przyda — mawiały przyjaciółki. Adaś straci kaszel, jeśli jedno lato w górach przesiedzi. Dla Stasia nieodzowne są kąpiele Ciechocińskie, a Helenka powinna się żywić bardzo intensywnie i dużo przebywać na świeżem powietrzu. Ja się na tem znam. Zobaczy pani, że doktór powie to samo".

Zona moja wysilała się na uprzejmy uśmiech i zapewniała, że doktór to samo powiedział: dla Adasia góry, dla Stasia Ciechocinek, Helenkę intensywnie żywić. Nie dodała jednak, że nietylko nigdzie nie wyjedzie z dziećmi, ale ich nawet z domu nie wyprowadza i to z przyczyny podartych bucików.

Ja jednak nie przestawałem pracować — tylko, że moja praca w takich warunkach do-

konywana była katorżną robotą. Mózg mi wysychał; daremnie wyczekiwałem chwili, w której byłbym zdolny myśleć. Każda napisana ćwiartka była owocem takiego wysiłku, jakiegoby potrzebował konający na wypowiedzenie mowy pożegnalnej. Wstawałem zawsze od biurka z bólem głowy, a każda dokonana w tym czasie praca, zaznaczała się nową zmarszczką na mem czole.

Tęskniłem za mechaniczną robotą i byłbym wolał drwa rąbać, lub cegły dźwigać, niż w tych warunkach myśleć i pisać. — Chciałem się zabrać do tłómaczeń. Nęciło mnie w nich to, co je zbliża do rzemieślniczej pracy.

Ukazało się wtedy sławne angielskie dzieło ekonomiczne, które tłómaczono na wszystkie języki, gdyż było bardzo na czasie. Sprowadziłem je i przetłumaczywszy kilka rozdziałów na próbę, zaniosłem księgarni. Chciał się w tem rozpatrzyć i wydawał się dość zachęcony, zastrzegł się jednak, że nie znając języka oryginału, musi się poradzić biegłych.

Wróżyłem sobie pomyślny rezultat jego namysłu i wracając do domu obliczałem przyszły zysk z mej pracy. — Będę pracował we dnie i w nocy — myślałem — skończę w kilka tygodni — a potem zgarnę odrazu sporą sumkę. Naturalnie miała już ona gotowe przeznaczenie, a raczej miała ich kilka Tyle było przecież rzeczy niezbędnych, bez których musieliśmy się obywać! Przedewszystkiem zdrowie dzieci — myślałem. Dla Adasia góry — ah! to byłoby za kosztowne — ale słone kąpiele dla Stasia, Helenkę żywić intensywnie, żonie porter, wszystkim świeże powietrze.

Czekałem długo na odpowiedź. Eksperci widać mozolnie sprawę badali.

Nareszcie po kilku tygodniach powiedział mi księgarz, że książka już jest przetłómaczona i wyjdzie nakładem jego zięcia. „Kto tłómaczył?“ — pytałem.

— Pański kolega, Feliks R. — Dowiedziałem się potem, że on był właśnie tym ekspertem, który miał wartość mej pracy oceniać.

Jednakże sumienie zaniepokoiło go trochę; przybiegł wytłómaczyć się przedemną.

— Ja nie wiedziałem, że ty to chcesz tłómaczyć. Tyś zaczął dopiero — ja już skończyłem. Chętniebym ci zresztą ustąpił — ale widzisz, ja ogromnie potrzebuję pieniędzy. Zacząłem się starać o tę śliczną Marynię C. — Ona jedzie do Zakopanego; jeśli nie pojadę za nią, gotowa sobie to źle tłómaczyć — wszystko przepadnie. Jeśli pojadę, ożenię się, wezmę sto tysięcy, a wtedy i tobie pomogę. — Przecież zakochanym trzeba niejedno wybaczyć.

Już wtedy byłbym sobie dał uciąć głowę, że Feliks prosto z mojej książki swego tłómaczenia dokonał. Oddał mi ją bardzo podniszczoną. Byłem na niego wściekły i panowałem nad sobą, żeby go za drzwi nie wyrzucić.

Na pożegnanie powiedział mi słowa, które na ironję zakrawały:

— Eh, wierzaj mi, nie żałuj. Twego czasu szkoda na to i twego talentu szkoda na tłómaczenia.

— Ach! to ja mam talent? — zapytałem zirytowanym głosem.

Feliks był jednym z tych, którzy najwięcej dowodzili, że się ze swem powołaniem minąłem.

Stało się. On pojechał do Zakopanego, moje dzieci zostały w mieście.

Nie ożenił się jednak, nie wziął posagu i mnie nie dopomógł.

Oboje z żoną dochodziliśmy do przekonania, że takie djabelne położenie dłużej się przeciągać nie może. Trzeba coś zrobić, żeby wyjść z tego zaklętego koła — ale co? Życie nasze było tak nieznośnem, że choćby grom uderzył w naszą chałupę, bylibyśmy mu wdzięczni za to, że nas wyrwał z odrętwienia i że coś się zmieniło.

Otoczenie moje stawało mi się coraz bardziej wstrętnem. Znienawidziłem ludzi i znienawidziłem miasto — a następnie przez lat kilkanaście nie mogłem się zdecydować, aby je choćby w przejeździe zobaczyć. W podróżach moich omijałem je tak starannie, jak złodziej posterunek policjanta.

Bruk tutejszy ranił mnie w pięty, powietrze mnie dławiło, a od twarzy ludzkich odwracałem się, bo ślina mi się w ustach zbierała, gdy przez twarze w duszach czytałem.

Jednego tylko miałem towarzysza, który mi wprawdzie mej doli nie mógł osłodzić, ale mnie rozumiał i uczucia moje podzielał.

Łączyło mnie z nim najbliższe, jakie może być pokrewieństwo — pokrewieństwo wspólnej niedoli. Był moim kolegą w nędzy i osamotnieniu. Tak jak ja pełen goryczy, jak ja zdziczały — jak ja niegdyś miłośne do świata wyciągający ramiona — odtrącony i wzgardzony, sam gardzić się nauczył.

On jeden zresztą wierzył jeszcze we mnie i przyszłość mi obiecywał.

Tu Henryk przerwał, — i w serdecznym uścisku rękę Stefana potrząsnął.

Nikt zresztą nie odzywał się, a on mówił dalej:

— Ktoś z obecnych wspomniał tu dzisiaj o trudnościach, z któremi walczyłem za młodu i przytaczał je na dowód, że prawdziwy talent zawsze sobie drogę utoruje i wybije się na wierzch. Nie wierzcie w to, panowie.

Najprawdziwszy genjusz nawet w okolicznościach takich musiałby zmarnieć, a i ja byłbym zmarniał niewątpliwie. Nie torowałem sobie drogi — nie przypisuję sobie najmniejszej w późniejszem powodzeniu zasługi. Zresztą osądzicie sami.

W chwili, gdy rozpacz moja dochodziła do ostatnich granic, gdy tonąc, byłem gotów chwytać się choćby brzytwy i ratować nie talent mój — ale tylko życie — nie dla siebie zresztą, tylko dla dzieci moich — wyczytałem w jakiemś piśmie następujące ogłoszenie:

— Poszukuje się towarzysza podróży młodego wykształconego, znającego języki: francuski, niemiecki, angielski i włoski. Prócz kosztów podróży i całego utrzymania, stała pensja miesięczna.

Po krótkiej naradzie z żoną, napisałem ofertę i miałem szczęście; — zostałem zaangażowany. — W tym samym czasie odniosłem zwycięstwo na jakimś — naturalnie nie w Lechowie ogłoszonym konkursie i za moją powiastkę, osnutą na tle historycznem, dostałem nie złą pieniężną nagrodę. To mi pozwoliło uregulować trochę sprawy domowe.

Towarzyszem moim był podstarzały oryginał, zbogacony kupiec bez wyższego wykształcenia. W poglądach swoich stał na zupełnie przeciwnym, niż ja biegunie, ale wyrobił je sobie samodzielnie na zasadzie dosyć zresztą jednostronnych doświadczeń.

Nie czytał nic; nawet w gazetach to go tylko interesowało, co się do handlowych odnosiło obrotów. Literatura i sztuka stanowiły dla niego grunt zupełnie nieznany. Ignorancji swej się nie wstydził; uważał ją za rzecz naturalną. Zachował zresztą wielką świeżość umysłu w tym kierunku, pewną nawet dziecięcą naiwność — obok wielkiej przebiegłości, chytrości i nie małego doświadczenia w życiu praktycznem.

(Dok. na.t,). *Mos:czeńska*

Z literatury agrarnej.

(Ciąg dalszy).

Pomijamy przytoczone u autora szczegóły o ustawodawstwie rozmaitych krajów, wykład o istocie almendów i różnych ich rodzajach: o wspólnych pastwiskach, lasach, rolach i łąkach, ażeby przejść wprost do rozdziału, w którym Buchenberger streścił dowody zwolenników i przeciwników almendów (*„Für und Wider die Almende“).*

Dotychczasowy nasz wykład — pisze autor — wykazał, iż racjonalnie mówić można w każdym razie tylko o zniesieniu almendów, o ile stanowią je r o l e i ł ą k i, jak również można zasadnie dążyć do usunięcia korzystania przez uczestników z lasów gminnych w naturze, ale w s p ó l n e p a s t w i s k a g ó r s k i e, jako takie, nazawsze utrzymać należy. Ale i co do wspólnych ról i łąk nie można spuszczać z uwagi, że tam, gdzie własność ziemska jest mocno rozdrobniona, prawo na udział w tych almendach stanowi cenną podporę w gospodarstwie uboższych posiadaczy rolnych, a z drugiej strony jest wielką ulgą dla gminy, zwalniając ją w pewnej mierze od ciężaru opieki nad ubogimi. Największe jednak znaczenie mają te grunta wspólne dla bezrolnych (wyrobników, drobnych rzemieślników wiejskich, robotników fabrycznych), dając im możność prowadzenia gospodarstwa rolnego choćby na najmniejszą skalę. Niejednemu bezrolnemu korzyści, które udział w almendach przyniósł jego gospodarstwu domowemu, umożliwiły przejście do szeregów posiadaczy rolnych.

Słusznie tedy podnosi prof. uniwersytetu lipskiego K. Bücher w swym artykule o almendach w *Handwörterbuch d. Staatswissenschaften* (T. I.), że w krajach, posiadających almendy, nie spotkasz owego żebraczego proletarjatu wiejskiego, od którego roi się w północno i środkowo-niemieckich okręgach z prz ważającą średnią i wielką własnością, że w ogólności almendy zapobiegają powstaniu podobnych jaskrawych różnic między ubogimi i bogatymi. Gdzie, jak to często ma miejsce, udział użytkownika w almendzie rośnie wraz z jego wiekiem, tam ułatwione są wielce podziały między rodzicami a dziećmi, a los pierwszych po oddaniu majątku dzieciom nie jest tak opłakany, jak to się często na wsi zdarza.

Słusznie także zwrócono uwagę na okoliczność, iż w okolicach fabrycznych almendy łagodzą szkodliwe objawy, towarzyszące przemysłowi fabrycznemu i domowemu. „Umożliwiają one — powiada Bücher — tak pożądaną i ekonomicznie zdrową zamianę pracy przemysłowej na rolniczą i odwrotnie; robotnicy nie zależą wyłącznie od swego zarobku; przedsiębiorcy nie mogą z taką łatwością, jak gdzieindziej, ściągać w celach konkurencyjnych robotników obcych, w przemyśle daje się przeprowadzić pewna decentralizacja, przytem rozporządza on wykwalifikowaną armją robotników, którzy, pomimo swej osiadłości, zachowują większą samodzielność i oporność w razie kryzysu, niż robotnicy w miastach“.

U j e m n e strony almendów mogą, o ile chodzi o wspólne lasy, objawić się w tem, że otrzymywanie części potrzebnego opału in natura, — rzecz niewątpliwie cenna dla włościanina chorującego na chroniczny brak gotówki — może przy pewnych okolicznościach wywołać mniej oszczędne obchodzenie się z drzewem i opóźniać wprowadzenie w życie nowych ekonomiczniejszych sposobów użytkowania opału.

Przeciw wspólnym gruntom ornym zwykle występuje się z zarzutem, że w końcu terminu użytkowania ma zazwyczaj miejsce mniej

staranna uprawa, a niekiedy prowadzi się nawet czysto rabunkową gospodarkę.

Ale pierwszemu z powyższych zarzutów, zwłaszcza w okolicach w lasy bogatych, nie można nadawać donioślejszego znaczenia, a zarzut co do gruntów ornych dzielą almendy z dzierżawami, z tą jednak na korzyść pierwszych różnicą, że z powodu rzadszych zmian w osobie użytkownika przy almendach ujemne te objawy (tj. zła gospodarka), rzadziej się napotyka. Nie można tu pominąć faktu, iż nadzieja na udział w użytkowaniu z almendów przyczyniać się może do uporczywego trzymania się ziemi i rolnictwa *(Schollenkleberei)*, co następuje tam zwłaszcza, gdzie rozmiar almendów jest znaczny. Nie rzadko młodzi ludzie, nie posiadający wcale, albo też bardzo mało gruntu, uporczywie trzymają się wsi, aby nie stracić swego udziału w almendach, podczas gdy przerzucenie się do innych zajęć mogłoby byt ich polepszyć. Nie da się również zaprzeczyć, że owo przeludnienie, z którem się spotykamy w wielu gminach południowo-niemieckich znajduje się w pewnym przyczynowym związku z instytucją almendów i że gwałtowny popyt ze strony tych bezrolnych żywiołów na każdy wolny szmat ziemi w niekorzystny dla gospodarzy wiejskich sposób podnosi ceny dzierżawy i kupna. Ale takie same zjawiska dają się zauważyć i w okolicach z silnie rozdrobnioną własnością ziemską, a bez almendów. Zresztą, w czasach gdy ludność wiejska w wielu okolicach stała się nadmiernie ruchliwą i płynie stale ze wsi do miast, pewne przywiązanie do wsi, będące rezultatem wspólności gruntowej (almendów), należy raczej za dodatnią, aniżeli ujemną stronę tej instytucji poczytywać... Gdzie jednak te ujemne skutki almendów wystąpiłyby silniej i tamowały nawet postęp gospodarczy, co mogłoby mieć miejsce szczególnie przy wielkich obszarach wspólnych gruntów, tam możnaby przeciwdziałać podobnym złym skutkom i nawet całkowicie je usunąć przez silne opodatkowanie udziałów w almendach na korzyść gminy, albo przez wydzierżawienie mniejszej lub większej części gruntów wspólnych.

Szkodliwym jednak następstwom, płynącym z kolektywnego użytkowania pastwisk ustawodawcze jego uregulowanie zapobiegnie lepiej, aniżeli dawniejsze, często bezmyślne podziały na małe i najmniejsze kawałeczki, które chyba tylko w najbardziej wyjątkowych wypadkach dadzą się racjonalnie użytkować.

Staranne zważenie — kończy Buchenberger, wszystkiego, co podnoszą przeciw almendom, jak również i tego, co przemawia za almendami w ich obecnej prawnej postaci, prowadzi do wniosku, że i na przyszłość nie należy zrywać z ową przezorną zasadą, przyjętą w ustawodawstwach południowych Niemiec, Szwarcarji, Francji, które, wprost przeciwnie, niż Niemcy północne i środkowe, oraz Anglja, tak utrudniły podział almendów. Rzecz jednak oczywista, iż konkluzja taka w niczem nie popiera usiłowań, zdążających do zaprowadzenia gminnej, albo państwowej własności wszystkich gruntów w ogólności.

☆ Nowe książki. ☆

Jan Kasprowicz. *Krzak dzikiej róży. Z portretem Autora. Lwów 1898. Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie.*

Książkę rozpoczynają liryki o żałobnym blasku czarnych pereł.

Poeta wierzył niegdyś w „światła moc, władnącą nad mrokami“, ale tę wiarę utracił, a z morza łez, za nią wylanych, wstało widmo rozpaczy i zamknęło go w uścisk, ogarniający świat.

Więc w ciemności schodzi jego dusza, „w ciemności toń bezdenną“. W zimnem, ślepem tem otoczeniu poeta skarży się gwiazdom złotym modlitwą, co „jęczy, jak zraniony zwierz“ i zazdrości nawet „tym, co w grobach leżą, owianych trawy szeleszczącą ciszą“.

I cóż jest powodem zwątpienia, które gasi, niby krepa, dźwięki jego lutni? Własna wina, czy też cios, ręką losu lub ludzi zadany? — Ani jedno, ani drugie. Źródło nastroju leży głębiej i — wyżej! Poetę przygnębia rozterka, zachodząca między czarownym światem jego marzeń, a rzeczywistością. On pragnąłby pić z pełnej czary życia, odczuwać wszystkie jego dreszcze, walczyć, cierpieć, zwyciężać!

A tymczasem. . chociaż ogromne morze życia grzmi przed nim, chociaż łódź nań czeka, on, „samotny żeglarz bez odwagi“, na brzegu stoi zadumany. W chmurach pioruny dzwonią, pierś morza wzdyma się i opada „z jękiem tonących żeglarzy“, a on w szalejące odmęty rzuca nie czyn, lecz słowo:

Błogosławiony, kto ginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotem.
Błogosławiony, kto pochwycił wiosło
I jak bohater puścił się w swej łodzi,
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!
Błogosławiony, kto z swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swojemi grzmoty przestworze poruszy.

Zamiast czynu, krwi, życia dał — pieśń! I jakżeby mógł nie wątpić, nie cierpieć, nie rozpaczać? — Lecz chwile rozpaczy, chwilami tylko będą!

On wie, jaka moc spoczywa w Tyrteuszowej lutni, on wie, że pieśń — to błysk i grom i czyn! Więc podnosi schylone czoło i śpiewa dumnie do wtóru Akordom jesiennym“:

I jam rzucił plenne ziarna,
z których wzrosną pęki zbóż,
By wzbogacić człowieczeństwa
ten otwarty, wielki bróg!

A tych ziarn plennych nie uniesie wichura jesienna. Może ona zburzyć grób poety, połamać „nieśmiertelny bluszcz“, rozwiać suche kości,

Lecz nic więcej! Ten, co sycił
moją pieśń, żywotny tłuszcz
Wsiąkł już w rolę, już z nią zawarł
niezniszczalny, wieczny ślub.
. . . .
Rój żniwiarzy zbiera plony,
co wyrosły z moich dum!...
Kłosom, z moich ziarn powstałym,
błogosławi boży tłum..

Poeta wierzy w moc i nieśmiertelność swego słowa, bo pieśń jego nie szukała natchnień „u pańskich, u bankierskich bram“, krwi serdecznej nie zmieniała „w pochlebstwa płynne rytmy“ — nie! On stroił gęśl, aby śpiewać „o rozświetli jutrzni nowej, o rzeźwości nowych ros“. On słał pieśń, „z ludu łez i krwi zrodzoną na „żałości pełne drogi“ ojczystej ziemi, wołając w ślad za nią:

Z wichurami razem dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów
W jeden głośny akord wciąż!

Oprócz wyżej wymienionych pieśni pierwszego działu i „Akordów jesiennych“, „Krzak dzikiej róży“ daje w pełni rozwinięty kwiat w kształcie poematu „Na wzgórzu śmierci“, oraz dwie wiązanki drobniejszych pąków, z których jedna ma tytuł: „Z wirchów i hal“, a druga — „Nad przepaściami“.

W poemacie autor wiedzie czytelnika na Golgotę i z jej szczytu roztacza przed nim obraz posępny, jak rozpacz, — od śmierci smutniejszy. Czarną musiała być godzina, w której poeta wysnuł go ze swej wyobraźni, bo ciemność, jaka tu panuje, nie okrywała chyba świata nawet wówczas, gdy westchnienie „Eli, Eli lamasabachtani!“ zgasiło słońce; do równie potwornej cielesności nie zdolną by była poniżyć się „dusza“, choćby nieraz, lecz sto razy była z raju wygnana; tak odczłowieczyć się nie mogłaby nawet zgraja, która zabiła Boga! Poeta usunął ze „Wzgórza śmierci“ to wszystko, z czego się później rozwinęła epopeja chrześcijaństwa, co posiadało moc zmartwychwstań, a pozostawił tylko występek, zbrodnię, ohydę! A jednak rwący się na usta krzyk protestu, krzyk grozy milknie, bo na błotniste tło obrazu pada nagle promień ideału, — zapowiedź odkupienia. — Tam — powyżej tłuszczy — kona Syn Człowieczy — kona, aby dał świadectwo „Prawdzie, Dobru, Pięknu, Miłości“. — Cichy Baranek, — b ogosławi tłumom — przebacza łotrowi — z krańca w kraniec ieci jego ogromne miłością wołanie:

O ludu mój, ludu!

* * *

Doskonały kontrast ze „Wzgórzem śmierci“ tworzą słoneczne „Wirchy i hale“. Motywów do pieśni tego cyklu dostarczyły poecie góry, obce i swoje, Alpy i Tatry. Te ostatnie zwłaszcza gościnnie przygarnęły syna wielkopolskich równin, nie skąpiąc mu nowych wrażeń, ani natchnień, a on, pięknem płacąc za nadobne, wyśpiewał na ich cześć, niby trubadur, sławiący damę swego serca, najpiękniejsze ze swoich piosenek Czarem słowa ujęte, mienią się w nich barwy, mówią głosy majestatycznej przyrody górskiej. Kołyszą się tu w błękitach orły, „w słońca lecąc szlak“ i „pawiookie drzemią stawy“; srożą się nagie turnie i zielone wdzięczą doliny; słychać jęki wichrów halnych — milczeniem przemawia cisza, co „od wieczornej idzie zorzy zamykać Tatry w swe ramiona“.

A pyszną scenerję ożywia lud, piękny junacki lud, — owi górale, co

W ślady za orłami
Polecą turniami,
Z wyostrzoną bronią
Kozice przegonią. Hej!

M. Wysłouchowa.

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 26. Od wyrazu: Rozpylacz do — Sikawka.

Piastun. Kapitał niemiecki wobec ludu polskiego na Śląsku cieszyńskim. Wydawnictwo „Głosu ludu śląskiego“ we Frysztacie. Frysztat 1898 str. 28.

„Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach“. Ułożył Piotr Chmielowski. Tom I. Zeszyt 5. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1898

„Wycieczka kolarza na Mazury Pruskie“. Ułożył Dzierżek. Warszawa. 1898. Druk i nakład Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, Nowy Świat 34.

Zygmunt Krasinski. „Wybór pism“. (Nie-Boska komedja. — Irydion. — Trzy myśli. Syn cieniów. — Psalm wiary. — Ułamek naśladowany z glosy św. Teresy. — Marja. — Beatrice. — Incomparabile donna. — Jak anioł spadły. — Do K. B. Koloseum. — Na sprowadzenie zwłok Napoleona. — Pod Chrystusem w Niebo wstępującym. Z portretem autora. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1898. Cena 1 rs.

Juliusz Słowacki. „Wybór pism.“ Z portretem autora. (Wiersze ulotne. — Poematy. — Fragmenty z dramatów). Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1898. Cena 1 rs.

Z drukarni Z. Golloba.